ROK PIĄTY.

№ 22.

WARSZAWA

d. 15 (27) maja

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

7ma po Wielkiej-Nocy.

„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie chlub się bogaty w bogactwie, ani przemożny w sile swojej; byś miał najwyższe bogactwa, największą moc, zdrowie, najpiękniejszą urodę i kwitnącą młodość, nie chlub się z tego. To tylko miej za szczęście, jeśli Pana Boga znasz, a nad ubogim masz pożałowanie. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Mrówka.

Nad jeziorem przejrzystem,
Na wybrzeżu cienistem
Śliczne dziecko siedziało,
Z twarzą smutną, zsiniałą
Na złym wietrze, na chłodzie,
Wiodło okiem po wodzie.
Mnie też wzięła ochota
Zagadnąć, niech szczebiota.
— Co tak patrzysz na wodę?
Dziecko myśli swe młode
Ze szczerością otwiera:
— Z drzewin listki wiatr zdziera,
Jeden upadł w jezioro,
Fale w nurty go biorą;
Mrówka na nim nieboga
Siedzi, jakaż tam trwoga!
Niech pan patrzy: ot płynie,
Wiatr uderzy, już ginie,
Wiatr ucichnie, znów listek
Pokazuje się wszystek.
Niech pan tutaj usiędzie,
Obaczymy, co będzie.
Pomyślałem: o dziecię!
Poznasz jeszcze na świecie
Inną mrówkę, co w listku
Swą nadzieję ma wszystką.
I ty w życia jezioro
Wstąpisz, łzy cię zabiorą
Od spokoju wybrzeża,
Od cichego pacierza.
Burza wkoło i wkoło,
Oh! nie będzie wesoło!
Żeby wszystko przetrzymać,
Trzeba listka się imać;
A tym listkiem jest wiara,
Ta Piotrowa łódź stara,
Co koniecznie do brzega
Szczęśliwego dobiega,
Choćby potop łez, żalu
Pędził falę za falą.
Ale mocno się trzeba,
Ująć łódki tej z nieba,
Biada, komu czczo w łonie!
Czy też mrówka utonie?..

Oto listek dopływa,
Dziecko w pomoc przybywa,
Widzi mrówkę skośniałą,
W swych ją dłoniach ogrzało.
O dziecino! tak ciebie
Bóg utuli w swem niebie
Jeśli bliźnim pomocą
Służąc wiernie dniem, nocą,
Przepłyniesz to jezioro,
Gdzie tak szczęścia niesporo,
A goryczy... goryczy...
Któż je wszystkie policzy?

Antek Brzostek
STRAZAK.

—

Świątecznego dnia w lecie, w południe, we wsi kościelnej o kilka mil od Warszawy, różnie różni używali wolnego czasu. Część gromady bez względu na płeć i wiek, snuła się pomiędzy domostwami, inni przypatrywali się z mostu pluskającym w rzece rybkom, najwięcej jednak wieśniaków i wieśniaczek pośpieszało gwarliwie ku karczmie, skąd dolatywał gwar niezwykły, dowodzący tej często grzesznej wesołości, którą rodzi blaszanka, za sprawą złego ducha tak chętnie i obficie wychylana przez niebacznych. Pomiędzy innymi, których karczma wabiła lub już zwabiła, widziano dwóch ludzi, idących na poczęstunek, widać aż z drugiego końca wsi. Wyszli oni z chaty dużej, czystej, a widać i zasobnej, bo i ze stodołą obok z kilkoma stogami siana i zabudowaniami. Jednym z tych dwóch ludzi był zamożny włościanin, człek już wiekowy, oblicza pooranego zmarszczkami, a z miny i z czupryny poznałeś, że dawniej służył żołniersko; drugą zaś osobą był człowieczek szczupły, kręcący się, mizdrzący do starego, ale twarzy jakoś nie bardzo obiecującej, bo najwidoczniej lisia chytrość z niej przemawiała. Z ubioru nie poznałeś, kim on mógł być właściwie; niby miejski podkasany surdut, szarawary płócienne brudne, kapelusz takiej formy, jaką żydzi noszą, buty łatane ale z pretensyą do zgrabności, chustka na szyi w czerwone kraty. Wyszedł on z chaty razem z wieśniakiem, przez całą drogę ku karczmie machał rękami i szeptał coś staremu do ucha, przed figurą kapelusza nie zdjął, a tylko mydlił oczy wieśniakowi, mówiąc między innemi:

— Wy Grzegorzu kochacie swoją dziewuchę, więc o dobry los dla niej starać się wam należy. Głupie to jeszcze dziecko, dała się zbałamucić babom, co jej niestworzone rzeczy na mnie nagadały... A powiedzcież sami, czy ja niepoczciwy człowiek?.. pieniądze mam, interesa prowadzę wszystkim, a czy mnie nazywają pokątnym doradzcą, czy jeszcze jak inaczej, to co wam to może szkodzić. Dziewucha się uparła, bo jej w głowie ten niedołęga wyrostek, coście go sierotą w dom swój przyjęli, a za to macie taką wdzięczność, że was obmawia nawet...

I tak mówił ów nieznajomy do Grzegorza, potem zaciągnął go do karczmy, postawił dla gromady parę kwart wódki, całował wszystkich, ściskał, płakał z rozczulenia, potrząsał rublami w kieszeni, i spoiwszy Grzegorza, mówił mu coś o oddaniu do wojska jakiegoś wyrostka, potem obadwaj do znajomej nam chaty wrócili, aby jak pijany Grzegorz bełkotał, hultaja wyrostka przepędzić, a córkę oddać mądremu Lisikowi...

W chwili, gdy stary Grzegorz i Lisik wychodzili z chaty, zza stogu siana wysunął się młody urodziwy parobczak, a poskoczywszy ku chacie, przebył śpiesznie jej progi i stanął przed kraśną dziewuchą, co płakała, klęcząc przed obrazem Matki Najświętszej, a płakała tak rzewnie i tak szczerze, że Antkowi także łzy w oczach stanęły.

— Maryś kochana i cóż rodzic wam powiedzieli?

— Gdzietam mój Antku, gdzie tam!.. z ojcem byłoby i łatwiej, ale Lisik był znowu dzisiaj; staremu jak zaczął mówić dziwne rzeczy, obgadywać ciebie Antku, żeś taki, żeś owaki, to rodzic tylko słuchał i mówił mi, żem zła córka, gdy nie chcę iść za Lisika, że to dla mnie szczęście, bo on na szlachcica patrzy, że was z domu wypędzi, lub odda do wojska.

— Do wojska odda... z domu wypędzi... powtórzył rozpacznie Antek. Maryś, co wy gadacie, czy wasz rodzic tak powiedział?

— Oj powiedzieli, powiedzieli Antku, ale i ja powiedziała, że za Lisika nie pójdę, że tylko waszą żoną zostanę.

— A jak mnie wezmą do wojska?

— To będę czekać, lub zostanę żołnierką i pójdę za wami.

Antek tedy upadł do nóg Marysi i klękli oboje przed obrazem Matki Najświętszej, i gdy się modlili długo a gorąco, drzwi się chaty otworzyły i wszedł pijany Grzegorz z Lisikiem. Pijany Grzegorz, kuszony od złego ducha pocichu, a od Lisika głośno, narobił wielkiego w domu hałasu, żelżył córkę i Antka, a gdy ten chciał go mitygować, kazał mu się z domu wynosić. Antek też wyszedł niebawem, ale wyszedł ogromnie zrozpaczony, bo go do żywego tknięto, i z jakiemś chyba ważnem postanowieniem, bo gorzko się uśmiechnąwszy, powiedział krótko a węzłowato:

— Jestem prawda sierotą... wy Grzegorzu, ciężki rachunek Bogu zdacie, że tego niegodziwca słuchacie. Bóg wam zapłać za wychowanie. Ty Maryś pamiętaj, cośmy sobie przed obrazem przysięgli, a teraz bądź zdrowa!

I Antek wyszedł, a dziewczyna poczęła płakać gwałtownie, z oburzeniem spojrzała na Lisika i za chwilę znowu sama była w chacie; bo rodzic Lisikowi oprzeć się nie umiał i wyszedł znowu do karczmy, ale już tylko zniewolony nieledwie, bo coś mu szeptało, że źle robi, słuchając niegodnego doradzcy, na którego uczciwi ludzie bardzo się krzywią, a który chce się z jego córką żenić, chociaż z chłopką, może dlatego, że oprócz koralowych ust i bogobojnego, chociaż chłopskiego wychowania, jest jeszcze córką najzamożniejszego w wiosce kmiecia, co i chatę ma własną i gumno i bróg pełen zboża, i białych talarów podostatkiem w schowaniu. Gdy więc świeże powietrze owiało Grzegorza, okoliczności te jakoś przyszły mu na uwagę. Chociaż ciągniony przez kusiciela, jednak coraz to wolniej postępował ku karczmie i oglądał się poza siebie, azali dziewucha nie wybiegła z chaty, aby powiedzieć mu wyraźnie: Źle robicie tatulu, bom ja wasze dziecko jedyne, a wy mnie chcecie oddać i komu?.. niepoczciwemu człowiekowi, co wam zaświecił w oczy swoją kusą sukmaną, dlatego, że niechłopska. Oj tatulu, tatulu, grzeszycie, chociażeście sami poczciwi, i tylko chwilowo obałamucił was trunek i zły człowiek; grzeszycie, bo chłopska sukmana jest ozdobą tego, kto jej nie plami złem postępowaniem. Są między szlachtą, co nam zazdroszczą i wsi i sukmany, a świat cały chętnie nas nazywa braćmi. Byleby chłopek był uczciwy a pracowity i nie zalewał się trunkiem, to go szlachcic oceni, posadzi koło siebie, za rękę go ściśnie i powie mu: bracie! kochajmy się, bośmy z jednej ulepieni gliny, tylko żem ja się ubrał pstrokato, a ty szaro, tylko że mnie upięli w kusy, niewygodny surdut, a tobie dali poważną sukmanę, co z ciebie nie robi fircyka i zdaleka każe wiedzieć, żeś więcej wart od wielu, boś człek do uczciwej pracy i do wydobywania chleba z ziemi stworzony. A tym chlebem i sam się do sytości nakarmisz i dasz szlachcicowi i za morze poślesz, a jeszcze ci zostanie.. Więc taki wyrzut mimowolnie nasunął się staremu Grzegorzowi; to też już prawie otrzeźwiony, gdy dochodzili do karczmy, oparł się naleganiom Lisika i zamiast pójść gdzie dzwonią kieliszkami, pociągnął go na pole i długo szedł, namyślając się nad czemś, aż przystanął pod figurą, zdjął czapkę i począł mówić pacierz.

— Ej Grzegorzu, pójdźmy do karczmy, jużeście się dosyć namodlili, wybąknął Lisik, gdy wieśniak skończywszy pacierz, spojrzał jakoś dziwnie w twarz kusicielowi.

— Do karczmy nie pójdę, odparł krótko stary.. co wy Lisiku tylko wierzycie w karczmę i w kręcenie językiem jak szewc kopytem?

— Grzegorzu! co wam się stało, co wy gadacie?

— Et, bo już mi się w głowie przewraca od waszych andron. Chcecie się żenić z Marysią, to dziwnego nic nie ma; ale na co wam instygować na Antka? Ja go dotąd jak własne dziecko w domu widziałem; od małego dziecka przyjąłem jako sierotę po moim kumie, co w jednym szeregu służyliśmy i pod Berezyną i pod Lipskiem i het, het w Hiszpanii, a potem w jednej wiosce osiedli i sąsiednie orali zagony. Umarł nieborak z odnowionych ran, a jam jego syna za własne przyjął dziecię. I chował się Antek najprzód sam, a potem gdy mi się Maryś urodziła, chowali się oboje jak brat i siostra. Antek wyrósł na urodziwego i dorodnego parobczaka, a Maryś na piękną dziewoję i cóż grzesznego, że tak się mają ku sobie? Ja to już dawno widziałem, alem nic nie mówił, bo na co gadać, kiedy co miało być, to i bez gadania byłoby przyszło. Dopiero jak was zapoznałem Lisiku, jakoś

mi się w starej przewróciło głowie, i na wasze gadaniny zacząłem na młodych patrzeć zukosa. A mnie się widzi Lisiku, że ty zanadto mądry, a ja zanadto głupi; więc idź sobie lepiej w swoję stronę. Wódki prawie nieznałem, tyś mnie do niej doprowadził, z sąsiady się nie kłóciłem, a tyś mnie poswarzył, a na domiar wszystkiego nagadałeś na Antka niestworzonych rzeczy.

I poczciwy wieśniak naprawiwszy tyle zdumionemu niecnocie, zamaszysto sunął się ku swojej chacie.

— Maryś nie płacz... gdzie Antek? Odgoniłem już Lisika, wyrzekł stary, zobaczywszy płaczącą córkę.

— Oj mój tatulu, mój tatulu, a niechże wam Bóg zapłaci.

— Gdzież Antek Maryś?.. już niepłacz, pobierzecie się, pobierzecie; dla was moje dzieci chata, obory i wszystko... zgrzeszyłem stary, to prawda, ale jutro idę do świętej spowiedzi,— gdzie nasz Antek?

— Antek wyszedł srodze markotny, jakeście mu powiedzieli: won z mego domu! Pobiegnę tatulu, zawołam go, a toż to będzie radości!

Lecz w tej chwili wszedł sąsiad Grzegorza z miną bardzo frasobliwą: język mu się plątał jakoś dziwnie, aż dopiero po długiem ociąganiu się powiedział, że idąc z lasu, spotkał Antka śpiesznie pędzącego z kobiałką na plecach; parobczak ten przypadł do niego i Grzegorzowi kazał powiedzieć, że jako wypędzony sierota idzie w świat Boży, a Marysi, że ją miłuje i miłować będzie, że dotrzyma tego, co mówił przed obrazem i że jej przypomina także jakąś obietnicę. Potem Antek pobiegł drogą i zginął w zaroślach.

Rozpacz i przerażenie ogarnęły Grzegorza i Marysię, rozesłano na wszystkie strony konnych i pieszych, Antka nikt nie widział; widzieli tylko Lisika, jak zmiarkowawszy widać, co i gdzie się święci, sunął ku miasteczku przez pole, śmiejąc się z głupich jak mawiał chłopów, co lada doradzcy dadzą się obełgać i przywieść do nieszczęścia.

—

Łuna pożaru zaświeciła nad jedną częścią Warszawy; sunęli się ciekawi, biegła policya i wojsko. Kilkanaście zielonych beczek z wodą, każda w dwa silne i rącze zaprzężona konie, a na czele beczek pompa od sikawek, pędziły, roznosząc turkot, że aż okna i kamienie drżały. A wiecie wy ludzie, co to owa znakomita straż Warszawska? Straż Warszawska, to nieustraszone zuchy, co w taniec z ogniem z dziwną odwagą i poświęceniem biegną, co przypinają się jak pijawka do gorejącej belki, tną toporem podstawę, co się chyli, trzeszczy i razem z nimi upada. Tym razem jak zawsze po kilku przy jednej beczce zaczepieni jak który mógł na kawałku żelaza, na osi od koła, z okiem wytężonem w stronę płomienia, z drogi!.. na bok.. krzyczeli, a żaden z nich niespadł, chociaż beczki, i koła skakały po bruku na łokieć prawie od ziemi i kręciły po zaułkch bez względu, czy która zawadzi o pompę, zjedzie gwałtem w rynsztok, lub przemknie się, po wyboju. Straż tedy biegła, przechodnie na jej widok klaskali w ręce, bo jak nie klasnąć gdy dzielność i odwaga z uśmiechem pędzi na niebezpieczeństwo, aby ratować bliźniego.

Pożar tymczasem przybrał olbrzymie rozmiary: cała kamienica była już w płomieniach... Gdy straż całą rozwinęła czynność, zabrakło jej rąk do pompy; to też wezwano kilku wyrostków z liczby zebranych ciekawych i tymi się posiłkowano. Pomiędzy owymi wezwanymi, a raczej w liczbie tych, którzy bez wezwania rzucili się pomagać straży, był młody urodziwy chłopek z kobiałką na plecach, co stał spokojnie na boku i początkowo równie jak inni pociągniony był ciekawością do ognia. Młody chłopak nie żałował ani rąk ani pracy; gdzie mu wskazano miejsce, tam odbierał stanowisko, ciągnął z innymi sikawkę, podchodził z nią pod same walące się mury, aż zwrócono na niego uwagę, i kilku nawet z ciekawych bezczynnych pokazywali go sobie palcami, mówiąc:

— Ot śmiały chłopak.. widzicie jak się naraża; a to lepiej jak nie jeden strażak z rzemiosła.

Aż pożar został przytłumiony, gawiedź się rozeszła, straże rozjechały do swoich oddziałów, i tylko w tej okolicy miasta popłoch był chwilowy; i mówiono o dzielności strażaków, o ich poświęceniu i czynności, a między innymi wspominano o młodym chłopku, co razem z nimi narażał się na niebezpieczeństwo.

—

Na drugi dzień, do kapitana jednego z oddziału straży zameldował się ten sam chłopek

i powiedział, że przyszedł ze wsi w zamiarze znalezienia sobie zajęcia w Warszawie, że był wczoraj przy ogniu i po przypatrzeniu się czynności gaszenia, wzięła go chęć zostania strażakiem; że do tego kroku, pomiędzy innemi, skłania go i to, iż jest sierotą, bez ojca i matki, a więc od wojska niewolnym; że zamiast czekać, aby go wzięto przymusem, sam uprzedza czas poboru i prosi kapitana o przyjęcie do służby; że będzie pilnym, pracowitym i trzeźwym, jednem słowem Antek Brzostek, bo tak się nazywał, przedstawił się jak na pierwszy raz bardzo pochlebnie; w skutek czego kapitan poklepał po ramieniu, a w tydzień widziano już Antka w spencerku od straży ogniowej, zapalającego latarnie uliczne w Warszawie. Czynność tego rodzaju powierzaną bywa zwykle albo tym, co nowoweszli do służby, albo mniej wytrwałym, których do czego innego użyć niopodobna, albo wreszcie hultajom za karę. Jest to rodzaj próby w powołaniu strażaka, przez którą przechodzi się krócej lub dłużej, stosownie do tego, jakie jest jego postępowanie. Próbę takową przeszedł Antek w bardzo krótkim czasie; przeznaczono go do ogniowych i odtąd zupełnie nowe otwarło się dla niego życie.

Wszystkim w Warszawie po większej części znane jest życie żołnierzy ogniowych. Są to młodzi ludzie zwinni, zdrowi. Strażak Warszawski ma dwie główne namiętności: namiętność do picia i namiętność do hulanki. Niech z wysokości wieży sygnał da znać, że tam a tam pokazał się płomień, pomiędzy wiarą strażakmi wszystko wre i kipi; w jednej chwili ruchoma, szybka jak błyskawica ich kolumna, z całym szeregiem pomp, sikawek, kubełków, beczek z wodą, pędzi, gdzie trzeba i którędy trzeba, wywołując okrzyki przechodniów, i spada na płomienie jak jastrząb, aby je najczęściej w samym zarodzie przytłumić. Ale niech ogień zostanie ugaszony, niech kapitan pokręci wąsa i odezwie się do komendy: dobrze wiara, dobrze; niech przyjdzie niedziela lub święto i jakie parę godzin wolnego czasu dla kilku lub kilkunastu z oddziału... spać oni nie pójdą, bo szkoda czasu i zgnuśnieć tym sposobem można, a jeden po drugim, opięty w kusy spencerek wymyka się na miasto i dalejże hulać. Na drugi dzień skarg bez liku u kapitana, skweres głośny, miny na chwilę posowiałe, ale pomimo tego za jakiś czas znowu się toż samo powtórzy.

Pomiędzy to takich ludzi dostał się nasz Antek. Świeżo zachował on w pamięci niedaleką przeszłość i pomny na Marysię, smutniał coraz bardziej, nie zaniedbując się bynajmniej w swoich obowiązkach. Z początku dziwnym okiem koledzy nań patrzyli: nie był rozmownym, stronił od gwaru, kieliszka i wycieczek na miasto nie lubił, i gdyby nie czynność, jaką rozwijał podczas każdej ogniowej ruchawki, kto wie, czyby go nienazwano odludkiem lub niedołęgą. W tym tylko razie Antek pokazywał się, czem był rzeczywiście; to też koledzy często pomiędzy sobą nawet mówili o nim pochlebnie— a widać i pan kapitan notował sobie w pamięci dobre postępowanie i służbistość Brzostka, bo często się zdarzało, że w skutek dostrzeżonego chociaż cienia nieporządku w ogólnej służbie, wyburczy wszystkich razem i każdego po szczególe; co do Antka jednak, zachowa się z pewnem wyróżnieniem, a nawet czasami się zdarzało, że mu wręcz powie: dobrze chłopcze, dobrze! Tak było prawie przez rok czasu. Przez ten rok czasu Antek pomiędzy innemi, napisał także list, bo pisać sam trochę umiał, do rodzinnej wioski, a mianowicie do Grzegorza i Marysi. W liście tym dziękował za wszystko dobre staremu wieśniakowi, powiedział, że do straży przystał dlatego, że wolał przystać sam, aniżeli czekać, ażeby go z przyczyny Lisika wzięto i Bóg wie gdzie odesłano; że Marysię ciągle miłuje i miłować będzie, i że jak się teraz rozmyślił, i jak słyszy od spotkanych w Warszawie znajomych, może i źle zrobił, wziąwszy tak odrazu do serca to, co poczciwy stary Grzegorz, kuszony od złego doradzcy, mu powiedział. Ale co się stało, to odstać się nie może; nareszcie Antek kończąc swój list, kazał powiedzieć Lisikowi, że z nim za to wszystko złe, co się stało bynajmniej rachunek nieskończony. List takowy napisawszy i posławszy go przez znajomego wieśniaka, Antek był długo dosyć spokojny, a nawet wesoły. Myślał on o tem bowiem, że za ośm lat jako ochotnik, wysłuży swój czas, że wróci do wioski, może z medalem na piersiach i wysłużoną pensyą, Marysia na niego tymczasem poczeka, pobiorą się, będą gospodarzyć w imie

Boże na własnym zagonie... i o różnych jeszcze innych rzeczach rozmyślał strażak, wyczekując wiadomości od swoich i obliczając, kiedy kto od nich będzie u niego. Lecz dnie mijały, potem tygodnie i miesięcy para przeszła, a Brzostek napróżno czekał odpowiedzi. Niepokojony a nawet martwiony srodze, różne począł tworzyć domysły, i gdy nie było roboty, to łaził z kąta w kąt, szukając rozerwania, bo biedaczysko uczuł się prawdziwym sierotą, dla której troska i cierpienie, cierpienie i troska są jedynemi towarzyszami życia. I przewlókł się cały długi rok tak samo i bez żadnej zmiany. Przez ten rok czasu ruchawek pożarowych zdarzało się dosyć, a Brzostek zawsze i wszędzie należał do liczby najczynniejszych. O! bo tylko przy ogniu i w ogniu zapominał chwilowo o trosce, co mu piersi przygniatała; widział tylko płomień, czuł jakąś siłę, co go popychała w najbardziej zagrożone miejsca i dosłuchiwał bacznie, czy nieodezwie się jaki krzyk za gorejącą ścianą, czy nie trza będzie rzucić się gdzie naoślep i może uratować życie jakiej nieszczęśliwej ofierze. Tego chciał Brzostek. A myślicie, że jakie próżne pobudki skłaniały go do żądz tego rodzaju, że chciał nagrody i czczego poklasku? Bynajmniej. Antek, to chłopek: w jego sercu był ogień miłości bliźniego, chęć ratowania brata, chociażby z narażeniem własnego życia i ten pochop do dobrych czynów, co tak łatwo da się obudzić w piersiach naszego poczciwego ludu. Naturalnem zastanowieniem wyrozumował on sobie, że Pan Bóg stworzył księdza na to, żeby się modlił i pokazywał ludziom drogę do nieba, szlachcica, ażeby te drogę chłopkowi prostował i miał nad nim pieczę na ziemi, chłopka, ażeby pracą i uczciwością odganiał złego ducha, co ludziom w tę drogę lezie, a strażaka Pan Bóg stworzył na to, ażeby raczej sam pierwej zginął, aniżeli drugiemu pozwolił zginąć w ogniu.

Raz naprzykład w nocy, był pożar na żydowskiej ulicy i straże miały z nim taneczek nielada. Uratowano wiele, a Antek wedle zwyczaju był wszędzie, gdzie najbardziej piekło. W miejscu tedy ustronnem a wielce zagrożonem, rąbał toporem ścianę w zamiarze oddzielenia jej od reszty zabudowania; w tem przybiega doń zrozpaczony żyd w jedwabiach i rzucając pod nogi worek z pieniędzmi, wskazuje palące się gruzy, bełkocząc, że za niemi syn jego jeszcze został. Odrzucić nogą pieniądze, rzucić się z dziwną odwagą w płomienie, wynieść człowieka bez szwanku i wziąć się do topora, było dziełem jednej chwili u Antka.

— Wielmożny strażaku, jak się nazywacie? drżącym od wzruszenia wybełgotał izraelita głosem.

— Nazywam się strażak i basta!

— Ny, ale wasze nazwisko?

-- Idź do djabła!.. i Antek pobiegł w inne znowu miejsce.

Ale żyd nie poszedł do djabła; żyd na drugi dzień poszedł do kapitana, opowiedział rzecz całą i prosił o wskazanie, komu wdzięczność ma swą okazać, a dowodem tej wdzięczności miał być wczorajszy worek.

Kapitan tedy wyszedł do śmiejącej się wiary na podwórze i z powagą a nibyto surowo zapytał:

— Kto wczoraj bogatego żyda chciał wysłać do djabła?

Źle będzie, pomyślał Antek w duchu, ale wystąpił wyprostowany jak struna i przyznał się do winy.

— Hultaju, rzekł kapitan z uśmiechem, niewiernego człowieka wyciągnąłeś wczoraj z piekła za uszy.

— Nie człowieka panie kapitanie, ale małego żydka, co wśród ognia przyczepił się do



worka z pieniędzmi jak pijawka; a nie mogąc go unieść, wolał czekać na śmierć ze złotem, aniżeli żyć bez jego zapewne tylko części.

Wesoły śmiech rozległ się wokoło, kapitan także uśmiawszy się, zapytał Antka, czy wie, jak wygląda gefrejterski galonek, a może i medal za odznaczenie się, potem kapitan sięgnął po worek z rublami i Brzostkowi go dawał.

A Brzostek był w siódmém niebie, postać Marysi przemknęła mu się w pamięci, ale pieniędzy nie wziął.

— Ot bierz dziwaku, ja każę.

— Panie kapitanie! każ skoczyć z wieży, to skoczę, ale pieniędzy nie wezmę, bo nie sam tam byłem, a choćby i sam, to pan kapitan jednem słowem więcej mnie nagrodził, aniżeliby nagrodził cały majątek tego żyda.

Datek więc rozdzielono między wszystkich; wiara straż ucztowała zań po swojemu, a wychylając liczne kieliszki, krzyczeli po szyneczkach zdrowie nowego, nieobecnego tam rozumie się gefrejtera, co kto wie, czy jeszcze medalu nie dostanie!

(Dokończenie nastąpi)

Znaczenie ogrodnictwa i pożytki z niego.

II.

S A D Y.

—

Po wyłożeniu w numerze poprzednim znaczenia i pożytków z ogrodnictwa, podaje się teraz wiadomość i sposoby *jak zakładać ogrody i rozmnażać drzewa owocowe.*

Ogród owocowy czyli sad, zasadza się szczepami w szkółce wyhodowanemi. Szkółka zakłada się albo z *dziczek* w lesie wykopanych i do niej przesadzonych, albo też z płonek wyprowadzonych z *nasienia*, które po zaszczepieniu i przyjęciu się zraza gdy podrosną, w lat trzy lub cztery potem przesadzają się na miejsce, gdzie na zawsze pozostać i w drzewa rodzajne rość mają. Miejsce na szkółkę obiera się osobne, wolne od cienia i zasłonione jeżeli można od wschodnich mroźnych wiatrów.

Sadzenie dziczek.

Dziczki z lasu biorą się do szkółki najlepiej w jesieni, kiedy liść opadnie przed zmarznięciem ziemi, albo na wiosnę zaraz, jak tylko ziemia rozmarznie, nim pączki drzew pękać zaczną, to jest przed rozpoczęciem krążenia soków. Później wykopane, kiedy już liście będą rozwinięte, nie przyjmą się i oschną; szkoda byłoby drzewek i roboty około nich. Dlatego to sadzonek przy drogach wiele marnuje się, że nie w porę i niestarannie bywają sadzone. Wykopując drzewka z ziemi, ostrożnie trzeba wyjmować, żeby niepoobrywać drobnych korzonków, ważniejszych niżeli grube, gdyż drobnemi drzewko ciągnie pożywienie z ziemi, a grube służą tylko do trzymania się drzewka w swojej posadzie. Grubsze korzenie można nawet krótko poucinać, zrzynając końce ukośnie ostrym nożem gładko, tak, żeby strzępy rozdarte przy wykopywaniu rydlem lub motyką z korą uszkodzoną, aż do nietkniętego miejsca odcięte były; gdyż niedorżnięte końce takie lub uschłe, gnić będą, psując dalszą część zdrową korzenia. Zbyt długie korzenie niekoniecznie są potrzebne; można je obciąć jak najkrócej, a jeszcze drzewka po takiem obcięciu przesadzone przyjmą się, byleby one starannie z ziemi wydobyte były, nie wyrywaniem przez siłę, ale okopaniem wokoło i głęboko, a potem wyważeniem karpy wraz z ziemią przy niej będącą, którą uważnie potrosze odejmować i zlekka otrząsać potrzeba.

Tak wyjęte dziczki z miejsca gdzie wyrosły, ile możności jak najprędzej przesadzać należy, ażeby nie zwiędły. Nadewszystko korzenie zaraz osłaniać potrzeba mchem, gdyż one światła, ciepła i wiatru nie znoszą. Przewożąc z lasu do ogrodu, dobrze jest mech okrywający korzenie polać wodą, dla utrzymania w nich wilgoci i chłodu. Przed wykopaniem zaś naznaczyć krédą albo lubryką (rubryką) na drzewkach stronę południową, żeby tą samą do słońca posadzić w ogrodzie jak rosły w lesie.

Miejsce gdzie dziczki posadzone być mają, potrzeba obszernie i głęboko skopać, nie wydobywając jednakże na wierzch ziemi dzikiej; przytem pérz i chwasty wybrać, wykopane bryły rozkruszyć dla spulchnienia tychże. Jeżeli drzewka przesadzane będą z gruntu lepszego w gorszy i chudszy, w takim razie podsypać do dołka ziemi żyznej, a na gruncie piaskowym poddać gliny rozdrobionej i z ziemią

próchnicową zmieszanej. Sadząc drzewka ustawione w dołku, takowe z lekka ziemią zasypywać i sadzonką potrząsać, ażeby jej korzenie należycie rozpostrzeć się mogły do dalszego rozrostu. Po wsadzeniu, ziemię koło pieńka obszernie pokryć ściołką leśną z drzew liściastych, lub liściami, dla osłony korzeni latem od upału, a zimą od mrozu. Pod tem przykryciem utrzyma się wilgoć korzeniom potrzebna lepiej i skuteczniej, niżeli w wyrobionym koło pieńka dołku lejkowatym, dla zatrzymania wody, jak to ogrodnicy zwykle przez źle zrozumianą potrzebę robią. Pod przykryciem takiem, stanowiącym nawóz roślinny, wyrabia się gaz kwas węglany, roślinie do życia potrzebny. Trawa i darnina pod drzewami rość nie powinny, gdyż są im szkodliwe. Stare drzewa przez to nie rodzą owocu.

Posadzone dziczki powinny mieć obcięte dolne gałązki niepotrzebne, a wierzchołek ma być ucięty, żeby się drzewko wprzódy umocniło w korzeniu, mniej ciągnąc soków w gałęzie. Końce ich i sęczki ucięte zasmarować maścią ogrodniczą, lub w niedostatku tej żywicą, chociażby i gliną, żeby powietrze i wilgoć w rany świeże nie zachodziły, a przy takiem opatrzeniu, żeby guzy prędzej się korą zaciągnęły i zarosły.

Sianie ziarnek na płonki.

Na wyprowadzenie płonek z *nasienia* chociaż dłuższego czasu potrzeba, nim one dorosną grubości należytej do szczepienia, ale za to pewniejsze i lepsze będą te siewki, niżeli dziczki z lasu wykopywane i do szkółki przesadzane. Do zasiewu biorą się ziarnka z gruszek i jabłek dzikich, nie mieszając gatunków; im z większego owocu tym lepsze, i takowe zasiewają się rządkiem na ziemi skopanej, oczyszczonej z chwastów i dobrze spulchnionej. Pożyteczniej będzie ziarnek z owocu nie wybierając, sadzić ulęgałki razem z owocem, którego sok jak z piersi matki nasienie dostarczy potrzebnego pokarmu przy pierwszem wykluwaniu się zarodka. Nasiona pestkowe jako to śliwek i wisien, mające twardą łupinę, skutkiem wyschnięcia z trudnością, bo ledwie w lat dwa i to nie wszystkie wschodzą. Dlatego trzeba je skoro dojrzeją, zaświeża z owocem sadzić, chcąc mieć dobre płonki. Nic nie szkodzi, że wschodzące roślinki gruszek i jabłonek kępkami wyrosną. Można je potem rozebrać i rozsadzić, przesadzanie zaś staranne przyśpiesza wzrost młodocianych drzewek, a potem polepsza gatunek owocu, jeżeli szczep raz i drugi będzie przesadzony. Z ziarn branych z owoców drzew sadowych szczepionych, bujniejsze wyrastają płonki, niżeli z owoców dzikich; lecz te drugie wydają mocniejsze, trwalsze i zdrowsze drzewa. Siać można na zimę lub na wiosnę. Lepiej jednak na zimę wtedy, jak sama natura zasiewa, bo ziarna w zachowaniu do wiosny zbyt wysychają, a tracąc siłę kiełkowania, przez to trudno wschodzą, w zapakowaniu zaś psują się, dostając stęchlizny; mole nawet je zniszczą. Nasienie w gruncie nie zmarznie, które dosyć jest na dwa cale głęboką ziemią pokryć. Siejąc na wiosnę ziarna z zimowego zbierania, należy je wprzódy namoczyć. Bardzo tu pożyteczne będzie po zasianiu przykrycie zagona ściołką leśną, lub liściami drzew, tak dla ochrony zasiewu i powstałych z niego flanców od mrozów i upałów, jako też dla utrzymania w ziemi wilgoci i niedopuszczenia chwastów, a najbardziej pérzu, które, często wypielać potrzeba, żeby nie głuszyły delikatnych, światła potrzebujących roślinek i soków im z gruntu nie wysysały. Gęsty zasiew początkowy nie szkodzi, owszem ocienienie korzeni własnemi liśćmi jest pożyteczne i pomocne do bujnego wzrostu płonek. W czasie suchym polewać potrzeba rano i wieczorem. Na drugi rok można je przesadzić, zawsze jednak w takich od siebie odstępach, aby miały własne ocienienie u spodu.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d 15 (27) maja 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*